

Zachwyt zamiast wyrachowania

Na zarośniętych ścieżkach

**...i gdy człowiek wejdzie w las, to nie wie,
czy ma lat pięćdziesiąt, czy dziewięć,
patrzy w las jak w śmieszny rysunek
i przeciera ośleple oczy,
dzwonek leśny poznaje, ćmę płoszy
i na serce kładzie mech jak opatrunek.**

Konstanty Ildefons Gałczyński

Im dłużej przyglądam się nieco z boku temu, co zwane jest „ekologią”, tym trudniej mi znaleźć w sobie entuzjazm dla podobnych działań, czy nawet tychże działań uzasadnień. Współczesna ochrona przyrody wydaje mi się nieskuteczna, i to bynajmniej nie dlatego, że przeciwnik silny. Nie tylko jednak nieskuteczna, ale co gorsza raczej odstręczająca niż przyciągająca. Grzechem popularnego obecnie wydania ekologii jest to samo, co długim cieniem kładzie się na całej współczesnej kulturze, systemie wartości, dominujących światopoglądach i wynikających z nich postawach czyli ni mniej, ni więcej tylko materializm.

Od lat 60. materialistyczna ochrona środowiska trafiła pod strzechy i niemal zmonopolizowała sposób postrzegania kwestii ekologicznych. Wszystkie te „Granice wzrostu”, raporty Klubu Rzymskiego, biadolenia i lamenty proroków ekoapokalipsy, są przeniknięte wartościami współczesnego świata. Napisano je ekonomicznym żargonem, oszacowano straty i zyski, sporządzono tabele, statystyki i analizy. Wszystko tam jest - tylko nie ma ni krzty ducha. Wtedy i wtedy wyczerpią się paliwa kopalne, dziura ozonowa powiększa się z szybkością X procent w ciągu dekady, lasy deszczowe kurczą się w tempie tyłu i tyłu hektarów na rok, dziennie ginie ileś gatunków. I tak dalej. Policzone, wyłożone, podpis i pieczętka pod spodem.

Powiem szczerze: ekologia tego rodzaju budzi we mnie wstręt. Przyroda traktowana jest tutaj, jak - nie przymierzając - pogłowie bydła rogatego w PGR-ach za wczesnego Gierka. Takie stawianie sprawy jest i fałszywe (bo pomija rzecz najistotniejszą - piękno i istotę samej przyrody) i obrzydliwe. W takim ujęciu przyroda składa się z iluś tam niezbędnych gatunków i iluś tam procent dwutlenku węgla możliwych do absorpcji, a jej ochrona z jakiejś tam równowagi między nieodnawialnymi a odnawialnymi źródłami energii, z systematycznych nasadzeń w miejscach wyrębów i z dążeń do stworzenia takiego katalizatora, który sprawiłby - pozwolimy sobie na drobną złośliwość - że z rury wydechowej, zamiast spalin, wydobywałby się zapach fiołków lub bzu. Gdy słyszę tego rodzaju głosy o przyrodzie, przypomina mi się charakterystyka, jaką Gilbert K. Chesterton zawarł w swojej książce „Poeta i wariaci” pisząc o pewnym osobniku, że *„doszedł do stadium, w którym zobaczywszy anioła, patrzyłby nawet na niego okiem ornitologa”*. Materialistyczni ekologowie bez wątpienia osiągnęli to samo stadium.

W dodatku ekologia spod znaku statystyk, analiz i wyliczeń nie jest i nigdy nie będzie skuteczna. Będąc nieodrodnym dzieckiem materializmu, czyli takiego systemu (braku) wartości, który legł u podwalin dzisiejszego lekceważenia przyrody, nie umożliwia zmiany istniejącego stanu rzeczy - to mniej więcej tak, jakby alkoholizm leczyć serwowaniem uzależnionemu napojów wysokowych. Musimy wykroczyć poza powszechny światopogląd, jeśli chcemy osiągnąć cokolwiek. Nie przyniosą rezultatów w dziele ochrony środowiska i przyrody apele do człowieczego rozsądku. Jednym z

falszywych przekonaniach, jakie przyniosła nam nowożytność jest postrzeganie ludzi jako istot, które są lub lada moment staną się w wyniku „postępu” na wskroś racjonalnymi, podatnymi na argumentację odwołującą się do faktów. Tymczasem fakty, choć niezbędne w przypadku dotarcia do sedna zagadnienia i rozpoznania prawdy, są niemal bezużyteczne, gdy mowa o nakłonieniu ludzi do działania, podbicia ich serc, zarażenia jakąś wizją. Cóż z tego, że spaliny mogą powodować raka - przeciętny człowiek sądzi, że akurat jego to nie spotka lub nauka lada moment wynajdzie na tę chorobę lekarstwo. Cóż z tego, że giną gatunki - czyż wkrótce nie będziemy sami tworzyć nowych, manipulując do woli w genach, zestawiając, niczym w patchworku, dowolne zasoby tego rodzaju?

Ludzie kierują się w swoich poczynaniach emocjami, wyobrażeniami czy też - ujmując rzecz szerzej - mitami. Dzisiaj są to mity postępu, dobrobytu, podporządkowania sobie przyrody w celu eskalacji dostępu do dóbr i usług.

Nie są to mity nawet minimalnie „ekologiczne” - i naszym zadaniem jest zastąpienie mitów technokratyzmu mitami cudownej, żywej i niepowtarzalnej w swym pięknie Ziemi. U podstaw zniszczeń w łonie przyrody leży nie rozwój techniki, nie jakieś tam „przeludnienie”, nawet nie trendy konsumpcyjne, lecz desakralizacja, odarcie świata flory i fauny z nimbu świętości i tajemnicy. Dopóki widzieć będziemy w naturze taki czy inny zestaw surowców i pierwiastków niezbędnych do życia, dopóki będziemy postrzegać ją przez pryzmat „zielonych płuc” Polski czy globu (o tym, jak człowiek troszczy się o płuca mogłyby wiele powiedzieć miliony nikotynowych maniaków), dopóty nie dość, że sami nie staniemy się rzeczywistymi przeciwnikami dominującego światopoglądu, to jeszcze nie nakłonimy innych, by przyrodę chronili.

A przyrodę należy chronić nie z wyrachowania lecz z miłości. Nie tylko rozumem -lecz także sercem. Nie dlatego, że pustynnienie gleb, resztki surowców, globalne ocieplenie. W ten sposób można myśleć o remoncie mieszkania i ratach za telewizor, nie zaś o najpiękniejszym z cudów stworzenia. Nie o niesamowitym, niemożliwym do ogarnięcia przy pomocy rozumu zapachu bukowego lasu ciepłą jesienią. Nie o locie myszołowa przez błękitne przestrzenie. Nie o pierwszym wylęgu dzikich kaczek. Nie o spotkaniu oko w oko z sarną, gdy jej i nam jednakowo drży serce w trwodze i zdumieniu. Nie o zachwycie jedynym w swoim rodzaju, niepowtarzalnym krajobrazem, który staje przed oczami, gdy spoglądamy w rozłożone w dolinie pola, kępy drzew, podmokłe łąki i wijący się strumień. Nie o dębie, którego nie można objąć w pojedynkę i nie o jodle, która pnie się tak wysoko, że trzeba zadzierać głowę do granic możliwości, by ujrzeć jej wierzchołek. Nie o kaczęncach na brzegu rzeki, pierwiosnkach w starym dworskim parku i przebiśniegach w górskiej dolinie. To dobre dla osób o duszy technokratów, którzy potrafią coś tak niesamowitego sprowadzić do rzędów kolumn w swoich buchalteryjnych rozprawach - nie zaś dla czujących każdym nerwem, jak bardzo boli ich zagłada takiego świata.

Rozumieli to doskonale ci, którzy zajmowali się ekologią, zanim padła ona łupem materialistycznych i gruboskórnych specjalistów od wylczeń, jak szybko pochłonie nas smog i wyższy poziom morza. Bronili przyrody nie przed tym czy innym „systemem” ekonomicznym czy politycznym, lecz przed wszystkimi barbarzyńcami spod znaku wiary w materię, ślepymi na piękno przyrody i duchową więź człowieka z nią. Jan Gwalbert Pawlikowski w Polsce czy Reinhold Schneider i Wilhelm Riehl w Niemczech, pragnęli powstrzymać gwałt zadawany przepięknym, ukochanym przez siebie krainom w imię niewyraźnej słowami ich istoty a jakąś „ochronę środowiska” spod znaku zestawień i statystyk zapewne uznaliby za równie obrzydliwą jak działania, przed którymi chcieli przyrodę ochronić. Riehl pisał: *„Wrogowie lasu liczą nam co roku mnożące się materiały mogące zastąpić drewno i wskazują triumfalnie w nieodległą przyszłość, kiedy żadne lasy nie będą już potrzebne i całe zalesione obszary będzie można zamienić na pola uprawne, aby każda skiba w cywilizowanej Europie mogła wyżywić jednego człowieka. Ta myśl, aby każdy skrawek ziemi przeorać ludzką ręką jest dla wyobraźni każdego naturalnego człowieka czymś potwornym”*. Ludzie postrzegający problem jak on zapewne nie zastanawiali się nad przewagą ekologii ducha nad ekologią materii, gdyż wówczas tak

motywowana postawa była oczywistością dla każdego, kto o ochronie przyrody w ogóle myślał. Dzisiaj jednak widać wyraźnie, że ekologia spod znaku racjonalizmu i materializmu nie zda się na nic, niezależnie od tego, ile się jeszcze „naedukujemy społeczeństwo”. Jeśli nie przywrócimy duchowi prymatu nad materią, jeśli następnie nie uwrażliwimy ponownie ludzi na mistyczne piękno i istotę natury - nie zmobilizujemy ich do żadnego wyjątkowego wysiłku, Ekologia rozumu i materii nie przyniesie oczekiwanych rezultatów. Ekologia serca. i ducha może tego dokonać, nawet wbrew tym czy innym „koniecznościom dziejowym”.

Remigiusz Okraska